



Marian Kowalski

Mewy, tajemnice, przeznaczenie i... czająca się wokół groza.

WOŁANIE MEW

MARIAN KOWALSKI

WOŁANIE MEW

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marian Kowalski 2012

Okładka Copyright © Mateo 2012

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012

e-wydanie I

ISBN 978-83-63111-83-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Janinie Jadwidze – żonie

Marioli Aris – córce

Rozdział pierwszy

1.

W czerwcowy ranek Inga Bral, odziana w błękitny dres, wybiegła – podobnie jak w inne dni wolne od wczesnych zajęć – na ścieżkę joggingową. Oddychając spokojnie, bez większego wysiłku, poruszała się rytmicznie, lekko, prawie nie dotykając ziemi; płoszyła mewy – natrętne żółtonogie ptaszyska z ostrymi dziobami, którymi wydłubywały spomiędzy płyt chodnikowych jakieś okruchy. Żarłoczne, krzykliwe, świdrujące koralikami oczu, hałaśliwie trzepocząc skrzydłami, raz po raz wlatywały nad głowę kasztanowłosej. Wówczas ta drobnokoścista dziewczyna o długiej szyi, jakby pochodziła z tajlandzkiego plemienia Karen-Padong, pochylała się nieco, by uniknąć ptasich pazurów. A potem jej wąskie dłonie znów równomiernie płynęły przez sine powietrze, przesycone zapachem świeżo skoszonej trawy.

Ładna dziewczyna rozpędzająca o poranku ptaki bardzo rozbawiła śledzącego ją zza drzew bezszyjnego pokurcza, jednookiego Zboczka, parkowego podglądacza; ślinił się, chichotał w rękaw, zarzucał głową poszukującą spoczęcia na karku, znów się ślinił, rżał. I on miał miejsce na tym świecie, w tym parku, tak blisko kasztanowłosej dziewczyny.

Zatrzymała ją radiowa reporterka w rozciągniętym w ramionach wełnianym blezerze koloru dojrzałego owocu kiwi. Podciągnęła szerokie rękawy, wysunęła przed siebie dyktafon na całą długość chudej ręki.

– Dwa pytania – narzucała się zdyszczym głosem, pożerając oczami swą ofiarę z mewią nieustępliwością. – Czy instytucje rządowe są zobowiązane chronić stanowiska pracy dla swoich obywateli przed emigrantami? Jesteśmy tolerancyjni wobec innych wyznań? Co sądzisz o noszonych czadorach, burkach? Jak bronić się

przed terroryzmem? Gdzie jest miejsce dla Romów? Który problem z wymienionych cię interesuje? Co wywołuje twój niepokój o przyszłość? – Z agresywną gwałtownością sugerowała możliwe zagadnienia; wyboru powinna dokonać respondentka.

A ta dreptała w miejscu, niby wsłuchiwała się w zadawane pytania, niby szukała w myślach jakiejś odpowiedzi. Niby, bo naprawdę nie było jej to w głowie; patrzyła na reporterkę z wyraźną niechęcią, drażnił ją ton głosu, jakiego by nie chciała słyszeć w radiu. Przy montowaniu audycji na pewno go usuną. Chyba że stacja nie ma szacunku do swych odbiorców.

– Ja niemiecki nie rozumiem. Mówić po... arabski – kołyszac się w miejscu, odpowiedziała zagonionej reporterce, zirytowana nieprofesjonalnym zachowaniem. Na jej miejscu na pewno inaczej starałaby się pozyskać materiał! Cóż, do wszystkiego trzeba mieć smykałkę. Bez tego wychodzi fuszerka. Miała taką szansę i nie wykorzystała jej. Partaczka!

– Do diabła, a to pech! – stwierdziła dziennikarka. – Kasztanowłosa Arabka! – Nie kryła wściekłości, pośpiesznie zwijając się z dyktafonem, nerwowo szukając pośród przechodniów mijających stadko mew kolejnej kandydatki do przeprowadzenia wywiadu.

Indze nie udało się przebiec nawet kilkudziesięciu kroków, gdy dopadły ją następne pytania:

– Czy opuściłaś już kuchnię, wyszłaś z kościoła? Nie żyjesz z piętnem trzech K: Kirche, Kinder, Küche? – dociekało stworzenie prawdopodobnie powstałe z krzyżówki mężczyzny i kobiety; łatwiej było jednak uwierzyć, że istnienie zawdzięczało eksperymentom naukowym. I kusiło słodko, uwodzicielsko: – Przyjdź na wiec o siedemnastej. Dowiesz się, gdzie miejsce dla współczesnej dziewczyny. Możesz przyprowadzić ze sobą przyjaciółkę, wszystkie przyjaciółki, bo taka ślicznotka na pewno na ich brak nie narzeka. Usłyszysz wiele ciekawych rzeczy, które mogą odmienić twoje życie, odkryją przed tobą nowe perspektywy.

Inga Bral zbyła ją odpowiedzią, że potrafi sama o siebie zadbać.

Długo ściagały ją słowa złorzeczeń, pomruki niezadowolenia.

Następny wyznaczony odcinek drogi przeciął jej człowiek w masce, ze szczoteczką Irokeza na głowie w odcieniu intensywnego turkusa, w czarnej koszulce z białymi literami układającymi się w wyraz *Zohar*, z plikiem ulotek w kościstej ręce.

– A może i ty wciąż chodzisz w masce? Zdejmij ją, bądź sobą, pokaż, kim naprawdę jesteś. Wstąp do naszego klubu, gdzie nauczysz się pogardzania establishmentem. Czy wiesz, że świat jest pełen błędów, ułomności, wad? I takim pozostanie, jeżeli nie uwierzymy w doskonałość Stwórcy, nie zapagniemy gorąco zbliżenia do niego.

Wzruszyła tylko ramionami i pobiegła dalej. Minęła dziewczynę o arabskiej urodzie, nieśmiało proponującą kupno *Persepolis* Marjane Satrapi – obsypanego międzynarodowymi nagrodami komiksu o Iranie z czasów Chomeiniego. Ten świat nie budził zainteresowania Ingi, a tym bardziej taka forma przekazu o nim.

Naprzeciwko niej spod supermarketu szły rozśpiewane kobiety z ruchu Hare Kryszna w pomarańczowożółtych sari, mężczyźni w białych kurtach z mridangami, intonując maha-mantwę:

Maha-mantra Hare Kryszna

Hare Kryszna Hare Kryszna

Kryszna Kryszna Hare Hare

Hare Rama Hare Rama

Zakończyła jogging. Opuszczała ścieżkę powoli, dostojnie, szła wyprostowana, jakby niosła na głowie gliniany dzban z wodą nabraną w oazie, spod cienia palm, daleko od wrzasku mew, napastliwości cywilizacji.

Po powrocie do domu zastała już w nim Joachima Kraffta, siedzącego przed włączonym telewizorem. Nie była zaskoczona jego obecnością, miał własne klucze

do jej mieszkania; odkąd mu zaufała, wchodził do niego o różnych porach dnia. Nie brakowało w życiu Ingi okresu kompletnego zwątpienia w siebie, beznadziejnej utraty przekonania w sens tego, do czego zmierzała w tym obcym mieście, wśród nieznanymi ludzi, dni niewiary w zajęcie dobrego miejsca w agencji modelek, w trwającym tam nieustannie wyścigu. Właśnie wtedy pojawił się Joachim. Od razu wniósł w jej życie entuzjazm, pewność siebie. Wsparł duchowo i nie tylko, nie żałując wydatków, by wyglądała lepiej od innych konkurentek. Był w stosunku do niej dość bezceremonialny, ale Inga to nie przeszkadzało, szybko poczuła do niego zmysłowy pociąg, co w jakimś sensie stanowiło naturalny dowód dziewczęcej wdzięczności za roztaczaną opiekę, ochronę przed upadkiem na dno. Nie chciała, by jej obecne życie zostało poddane jakiejś nowej próbie bez Joachima. Jej zajęcie nie gwarantowało stabilizacji, wciąż kroczyła blisko krawędzi, nad przepaścią, jeden nierozważny ruch, a utrata równowagi mogła doprowadzić do upadku w czeluść, z której samej trudno byłoby się wydostać. Znała takie przypadki.

Z zamyślenia do porządku szybko ogarnęła pokój, czego nie zrobiła przed wyjściem.

Kiedy wróciła z łazienki, przez ekran włączonego telewizora przelatywały mewy. Znow te ptaszyska żarłoczne, krzykliwe, szukające żeru, by przetrwać, rozmnażać się, zaistnieć w świecie. Nie można się od nich uwolnić. Są na ulicach miasta, w parkach, na parapetach okien. I w telewizji. Lektorka beznamiętnym głosem komentowała: „Ornitologowie w rodzinie mew dotąd wyróżniali trzy grupy: wydrzyki – *Stecorariidae*, ciemno ubarwione, o silnych dziobach; mewy właściwe – *Laridae*, z przewagą białego w upierzeniu, o szerokich skrzydłach; oraz rybitwy – *Sternidae*, smukłe, o widłowym ogonie i wąskich skrzydłach. Wśród mew właściwych między innymi wyodrębniali: siodłate, srebrzyste, pospolite, blade, polarne, śródziemnomorskie, ciemnodziobe, czarnogłowe, modrodziobe, orlice, małe, śmieszki, obroźne, różowe, trójpalczaste.

Ostatnie obserwacje naukowców sugerują istnienie wśród mew właściwych

kolejnej odmiany, która przez miliony lat przeszła zaskakującą ewolucyjną konwergencję, o ile to określenie jest najwłaściwsze. Mewę tę przede wszystkim cechuje osobliwe zachowanie wobec człowieka, wyższy rodzaj inteligencji. Jedni badacze żartują, że jest ona jakby potwierdzeniem prawdy zawartej w legendzie marynarzy, inni – nawiązując do teorii Lamarca – wolą mówić o ciągłej transmutacji, przechodzeniu w świecie zwierząt do form wciąż nowych, doskonalszych.

Uczeni zastanawiają się, czy jej nazwą nie uczcić pamięci Richarda Bacha, autora książki pod tytułem *Jonathan Livingston Seagull – Mewa*, jednego z pierwszych powieściopisarzy, który nie mając absolutnie żadnych uprzedzeń wobec tego gatunku ptaków, swe dziełko w całości poświęcił właśnie jemu. Innym obserwatorom niezwykłych skrzydlaków bardziej odpowiada nazwisko Alfreda Hitchcocka, reżysera filmu pod tytułem *Birds*. Jego przeciwnicy uważają, że to niepoważna propozycja, bo opętane ptaki zachowują się kabaretowo; nazwa pochodząca od Hitchcocka przynosiłaby im ujmę, one zasługują na godniejsze określenie. Niezwykła mewa przenosi się znad Morza Północnego w głąb Europy, zaobserwowano ją już nad środkowym biegiem wielu rzek.

Ilość gatunków ptaków w Europie nie jest stała, ulega ciągłym zmianom, przybywa lęgowych i zalatujących. To zjawisko normalne. Ale obecność tych mew uważana jest za problem zmuszający do szukania odpowiedzi na wiele pytań. Skąd się wzięły? Jak będą się zachowywać? Czy nie stanowią zagrożenia dla innych gatunków? Czy nie zajdzie konieczność ludzkiej ingerencji w ich populację?”

Zaraz po tych informacjach podano wiadomość o zatonięciu podczas sztormu na Morzu Północnym pełnomorskiego jachtu *Niksy*. Załoga nie zdążyła nadać: *Save Our Souls*¹. W żadnej nabrzeżnej stacji, na przepływających w pobliżu jednostkach, na jachtach, na statkach nie odebrano sygnału *mayday*. Ciało żeglarzy zostały znalezione przypadkowo przez marynarzy statku handlowego płynącego z Hamburga przez Morze Celtyckie do Swansea. Wyłowione zwłoki pozbawione były oczu, twarze

¹ Zob. Słownik wyrazów marynistycznych na końcu książki.

nosiły ślady zadrapań. Jakiś nieznany, okrutny drapieżnik wyrwał nawet topielcom włosy, jakby miał zamiar wykorzystać je do budowy gniazda, co jednoznacznie wskazywałoby na to, że ów makabryczny obraz stworzyły ptaki.

– No, no! – mruknął Joachim Krafft, właściciel domu maklerskiego, mężczyzna otyły, ociężały, stale oblizujący wysuszone lekką gorączką usta. – Co to ja chciałem... – Powoli zbierał myśli. – Nieprawdopodobne. Chociaż, kto wie, na co te ptaszyska stać. Jedno jest pewne, że lata ich za wiele i roznoszą choroby! Czas już pomyśleć o ograniczeniu obecności tych skrzydlaków przynajmniej w miastach. Odstrzał, czy coś w tym rodzaju, może do pewnego stopnia rozwiązałby problem.

Inga nie wierzyła, by ptaki mogły okaleczyć zwłoki. Uważała, że dziennikarze są gotowi wymyślać niestworzone rzeczy, byle zdobyć czytelnika, słuchacza, widza. Rozgłosu oczekują też niedocenieni uczeni, badacze, podróżnicy. To dzięki nim ukazują się notatki o żyjących na Nowej Gwinei dinozaurach, o odkryciach nowych zwierząt i roślin nad Mekongiem. Jakże głośne stało się nazwisko przewodniczącego włoskiej komisji do spraw dziedzictwa narodowego rozpowszechniającego sensacyjne twierdzenie, że Mona Lisa to mężczyzna! Albo nazwiska ekspertów z zakresu antroposkopii uważających, że Mikołaj Kopernik był kobietą! Ile sensacji co jakiś czas podrzucają egiptolodzy rozkopujący Dolinę Królów, nekropolię w Tebach! Albo głosiciele twierdzenia, że ułożone przez Aborygenów kamienie dowodzą, iż wyprzedzili oni twórców kamiennego kręgu w Stonehenge, a także Kopernika, Galileusza i Heweliusza. Albo nazwiska wszystkich autorów katastroficznych wizji zderzenia planetoidy Apophis z Ziemią! Ochoczo dołączyli do nich nawet egiptolodzy przypominający, że Apophis to demon destrukcji i symbol ciemności w mitologii greckiej. Na każdej nowości nie tylko w modzie ktoś zyskuje. We wszystkich dziedzinach życia marzy się o stworzeniu choćby na jeden sezon szlagieru, przeboju przyćmiewającego inne. Jednemu, nawet błażemu wydarzeniu towarzyszy milion komentatorów, którzy korzystają z zaistnienia w mediach. Wszystko to pic i fotomontaż!

Wzruszyła ramionami.

– Nieistotne, czy naprawdę coś odkrywają, ważne, by o nich mówiono, pisano, pokazywano.

Inga Bral próbowała sobie przypomnieć, co o mewach opowiadał ojciec; gdy była dzieckiem, siadała mu na kolanach i słuchała opowieści o morskich podróżach. On, podobnie jak większość marynarzy, nie lubił tych ptaków, uważał, że są wyjątkowo wrogo usposobione do ludzi morza, więc nic dziwnego, że oni odwzajemniali się tym samym. Ale ta awersja nie była jednoznaczna z nienawiścią, z wrogością prowadzącą do prześladowania.

Joachim też patrzył na mewy z antypatią. Jego przodkowie pochodzili z nad mazurskich jezior i mieli niechętny stosunek do wszystkich rybojadów rywalizujących w odłowach z ludźmi. Nie mogli pogodzić się z istnieniem nad ich wodami czapli, kormoranów, no i oczywiście wszystkich gatunków mew.

– Słyszałaś, że są zagadką dla ornitologów – zauważył spokojnie.

Zaśmiała się.

– Widać dawno nikt nie pisał o nich niczego ciekawego. Znaleźli się w cieniu mediów – upierała się przy swojej hipotezie – więc wymyślili bajeczkę przejmującą grozą i obrzydzeniem, by znaleźć się w błysku fleszy, przed kamerami. Ludzie kupią każdą sensacyjkę, bo się nimi karmią, bez sensacji nie potrafią rozpocząć dnia, bez plotki nie zasną – stwierdziła rozweselona sformułowaniem ostatecznego wniosku. – Stąd sensacyjne informacje o penisie Napoleona, który rzekomo trafi na kolejną aukcję. – Śmiała się cichutko, wstydliwie, jakby temat ten naruszał pewne normy dobrego dziewczęcego wychowania. – Sformułowanie „rzekomo trafi” daje olbrzymie możliwości do stawiania hipotez, do wypowiedzi na różne tematy, niekoniecznie związane z kawałkiem ciała cesarza. Wielu sięga do biografii, oczekując w niej odpowiedzi na pytanie, czy w młodości właściciel tego peniska był gejem czy nie? I w ten sposób rośnie stos artykułów, audycji na użytek ciekawskiego społeczeństwa. Ornitolodzy mają ułatwione zadanie, nie muszą szukać sensacji w

bibliotekach i grzebać w zakurzonych księgach, bo mają marynarską legendę. Kilka zdań prowadzących do niebywałych nowinek. A legenda jak to legenda – wierzy w nią, kto chce wierzyć. Ci, którzy traktują ją poważnie, z takim samym nabożeństwem wysłuchają wszystkich rewelacyjnych opowieści podparty mitem. – I dodała po chwili: – A wiesz, że gdybym była dziennikarką, to chętnie podjęłabym się tego tematu. Wydaje się ciekawy. O społecznej randze.

Joachim Krafft od dziennikarskiej branży trzymał się z daleka, nie cenił jej przedstawicieli i chciał swój krytyczny stosunek do tego światka sensatów zaszcześcić także Indze.

– Zauważyłaś, że żaden z marynarzy, wyławiających na Morzu Północnym owych nieszczęśników, nie udzielił wywiadu? O czym to ja chciałem powiedzieć? – Zastanawiał się chwilę nad sformułowaniem myśli. – To ci powinno coś mówić. A co? Ostrożność nigdy nie zawadzi. Nawet jeżeli w tym, co usłyszeliśmy, jest tylko cząstka prawdy, nie wolno jej lekceważyć.

– Nie wszyscy mają parcie na ekran. Marynarze tamtego trampa zrobili swoje i nie dbają o rozgłos.

– Sądzę, że nie tylko o to chodzi. Oni unikają upowszechniania złych opinii o zjawiskach stanowiących w ich środowisku tabu. – Zamilkł na chwilę. – O czym to ja chciałem mówić?... Aha! – Odrywając wzrok od dziewczyny, powrócił do zagubionego wątku. – Wcześniej czy później wypłyną znowu w morze, a tam kto na nich czeka? – Zawiesił głos, a potem z obrzydzeniem rzucił: – Mewy! – I po chwili z tym samym wyrazem niechęci powtórzył: – Mewy! Coraz liczniejsze stada agresywnych ptaków.

„Głuptasek, mały krętacz” – pomyślała Inga. Znowu przypomniał sobie o jakimś męskim zabobonie. Ale po co? Chce ją nastraszyć? Próbuje zniechęcić do rejsu, podczas którego byłaby otoczona tylko przez wodę, wielką wodę i... mewy? Właściciel jachtu! Członek jachtklubu! Więc dlaczego nigdy nie wziął jej na pokład łodzi, nie mówiąc już wspólnym wypłynięciu w morze?

– Ja bym się nie bała! – stwierdziła zuchwale. – To przecież tylko ptaki, jedne z wielu. Co mi mogą zrobić?

Mężczyzna pogroził jej palcem.

– Nie kuś licha – ostrzegał. – Mewy są wszędzie i kto wie, co w nich siedzi.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Już się boję! – Zabawnie potrząsnęła ramionami.

– Może powinnaś?

Przybrała wyzywającą, wojowniczą postawę.

– Przenigdy! Jestem gotowa apelować: o, ptaki żarłoczne, przybądźcie, przylećcie! Odkryjcie prawdę o sobie! – wykrzykiwała teatralnie.

– To kiepski żart! – strofował ją mężczyzna.

Za okienną szybą zakołysały się mewie skrzydła, ostry dziób ze zgrzytem otarł się o szkło.

Joachim Krafft spojrział w tamtą stronę z nieskrywanym przerażeniem.

– To nie jest przypadek – wyszeptał. – Dziwne. Co to ja chciałem... Jakby to ptaszysko zamierzało coś rozdrapać... wdrzeć się do środka...

Inga wzruszyła ramionami.

– Ja niczego nadzwyczajnego nie widziałam, nie słyszałam.

Wyłączyła telewizor, odsunęła się od okna z natrętnie wdzierającą się do środka gigantyczną reklamą damskiej bielizny, prezentowanej na ciele rozkosznie uśmiechniętej kasztanowłosej. Znudziło ją patrzenie na własne odbicie utrwalone przez fotografa. Dobrego fachowca. Artystę. Nieraz sama siebie podziwiała na wykonanych przez niego zdjęciach. Współczesna technika czyni cuda. Szkoda, że nie we wszystkim bywa pomocna, nie zawsze potrafi odmienić ludzki los.

Z niechęcią zerknęła na spacerującą po parapecie spasioną, dużą czarnoskrzydłą mewę, z żółtymi nogami – ptaka spokojnego, szukającego miejsca na odpoczynek – i zaczęła swój codzienny show.

Z ulicy, spoza drzew, z lornetką w ręce, wpatrywał się w okno jednooki

Zboczek, bezszyjny pokurcz.

– Wszystko to pic i fotomontaż. – Westchnęła Inga, kręcąc się nerwowo nad leżącą na tapczanie bielizną w psychodelicznych kolorach. Prawie naga, pachnąca mydłem, dezodorantem i perfumami – nie miała w co się ubrać! Ten sam spektakl, pod tytułem „Co ja mam na siebie włożyć?”, dawała codziennie, a widownię zwykle stanowił jeden widz pożerający wzrokiem to rozrzuconą bieliznę Ingi, to ją samą bez niej. Dla wygłodzonego seksualnie mężczyzny każda kobieta jest cudem natury. Inga miała świadomość tej prawdy, wiedziała też, że nie tylko Joachimowi wydaje się piękna, niezwykle apetyczna. Pracowała jako modelka i spełniała wszystkie warunki swojej grupy zawodowej; była młodziutka, miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a jej wymiary zbliżały się do ideału: 83, 59, 82. Ponadto zdobiły ją długie kasztanowe włosy, piwne oczy, zmysłowe usta, kuszący uśmiech.

Joachim Krafft, spoglądając na dziewczynę, wyobrażał sobie więcej, niż mógł dostrzec – gdy Inga pochylała się nad ciuszkami, nakładała coś na siebie, a potem z wyraźnym grymasem niechęci ściągała. Bliższy kontakt z nią dawał mu ogromną przyjemność, ale oglądanie jej podczas ubierania się było nie mniejszym przeżyciem, swoistą nagrodą za cierpliwość w oczekiwaniu na zakończenie przedstawienia „Dziewczyna idzie na party”. Kamera filmowa nie wyłowiłaby tych szczegółów, które potrafiły wychwycić jego ruchliwe oczka. Mrużył je, jakby w ten sposób spojrzenie zyskiwało większą ostrość, szybciej zwilżał wysuszone usta i zawieszał wzrok na gładziźnie skóry Ingi, przesuwając nim po łagodnych liniach ciała, zanurzał w zakamarki. I puszczał wodze męskiej wyobraźni.

– Taaak...Taaak – cedził. – Nie wystarcza ci to, co już masz, kim jesteś. Praca dziennikarska do łatwych i przyjemnych nie należy. Bardzo stresujące zajęcie. Co ty w niej widzisz takiego, że koniecznie chcesz zostać dziennikarką?

Dziewczyna kręciła pupą opiętą materiałem, przez który wyraźnie przebijało ciemne podbrzusze, gęsto owłosiony wzgórek. Między udami powstawał niewielki prześwit z gładkimi ściankami. Gumka majtek wpijała się powyżej bioder, a poniżej

pępka; Inga naciągała ją i puszczała, jakby wciąż szukała dla niej odpowiedniego miejsca. Pochylona w stronę mężczyzny podsuwała mu pod oczy ciemno zabarwione brodawki. Chętnie chwyciłby w dłonie jedną z piersi i ścisnął jak kiść winogron (znał to porównanie z argentyńskiego serialu telewizyjnego). Nie zdobył się na to, tylko z wielkim napięciem wgapił się w sutki i onieśmielony głośno przełykał ślinę. Przypominał fetyszystę, któremu w ręce wpadła nie modelka, a jej setcard – wizytówka reklamująca dziewczęce wdzięki (znał to określenie z filmów amerykańskich).

– Wszystko to pic i fotomontaż – powtórzyła, sięgając po stanik. – Każde party to bajer kończący się tym samym, no wiesz. – Spojrzała na mężczyznę karcącym wzrokiem.

A on poczuł się tak, jakby przyłapano go na drobnym oszustwie, a równocześnie nie mógł dziewczynie wybaczyć, że stawia go w rzędzie z innymi, bo przecież był od „tamtych” lepszy, choćby dlatego, iż przy „takiej” dziewczynie wykazywał się wielkim opanowaniem zmysłów. Nie jak typki z amerykańskich filmów. No, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Masz powody do narzekania? – zapytał bez przekonania. – Wszystkie większe i mniejsze spędy składają się na naszą obyczajowość, są wpisane w obecną kulturę, a ona nadaje sens życiu.

– Sens życia... – prychnęła pogardliwie. – Jestem tu, a chciałabym być gdzieś indziej, robię to, a myślę, jak uciec od tego i wykonywać zupełnie coś innego. Jestem ja, którą widzisz, i ja – której nie dostrzegasz. Bo rozleniwiłeś się, zgnuśniałeś jak wszyscy przedstawiciele drugiego pokolenia emigrantów znad Wisły. Gdyby twoi rodzice żyli jak ty, niczego by nie osiągnęli, a ty chodziłbyś na darmowe zupki wydawane przez opiekę społeczną. Codziennie powinienes im dziękować za pracowitość, za upór w realizacji swych marzeń. – Westchnęła. – Wiele ci zawdzięczam. Pomogłeś mi. Ale to, co osiągnęłam, już mi przestaje wystarczać, szukam właśnie... tego głębszego sensu dla swego życia.

– Mądrze jest pytać o sens życia, ale rozsądniej nie próbować go szukać. Właściwie, co mi chcesz powiedzieć? Masz powody do narzekania? – dociekał coraz bardziej niepewnie; a na samą myśl o tym, co przeżył z nią po ostatnim party, poczuł podniecenie. Obawiał się, że pytanie było równie niestosowne jak to, którym swego czasu podczas pogrzebu niefrasobliwie pozdrowił krewnego zmarłego: „Dzień dobry, co słyhać?”.

Inga, od lat przyzwyczajona do wybranego przez siebie imienia otrzymanego podczas bierzmowania w kościele św. Elżbiety, wzruszyła ramionami; teraz wołałaby powrócić do pierwszego, nadanego jej przez rodziców podczas chrztu w Jutrosinie – Krystyna. Ach, zawrócić czas, zacząć żyć od nowa, inaczej! Mądrzej. Cofnąć się co najmniej o dekadę, by nie dać się złapać w sieć, z której później tak trudno się wyplątać.

– Chciałam jedynie powiedzieć... – Wyprostowała się na całą wysokość wysmukłej sylwetki, tak świetnie prezentującej się na billboardzie – ...że przychodzi w życiu moment zadawania wielu pytań. Pierwsze: co dalej?

Trzymała przed oczami turkusową sukienkę i przyglądała się jej bardzo krytycznie. Masakryczna. Nie od Versacego, nie z metką Marchesa! Dobry Boże, chyba nigdy nie będzie ją na to stać? Co musiałyby zrobić, by nosić ciuchy z takimi metkami? Miłosierny Boże... I nie byłaby sobą, gdyby natychmiast nie znalazła racjonalnego pocieszenia „Nie najlepiej wypadłabym w tych kreacjach – pomyślała – moja uroda potrzebuje rzeczy prostych.”

Sandałki, jakie zamierzała założyć, też nie pochodziły od mistrza Louboutina. Czy to ważne? Noga się liczy, stopa! Delikatna, lekka, na pokazie ledwo dotykająca wybiegu.

Zdecydowała się na bluzkę. Chwilę była zajęta, a gdy się z nią uporała, z miną zawiedzionej dziewczynki zaczęła się uskarżać:

– Nawet nie stać cię na małe kłamstewka, jakie słyszę od wielu, gdy przekonują, że chętnie uciekliby ze mną na bezludną wyspę.

Rzucił się ku niej.

– Jeszcze dziś mogę to powiedzieć! Nawet sto razy. I wypłynąć z tobą. Uciec na bezludną wyspę. To już lepsze niż rozważania, co nadaje życiu sens.

Nie tak łatwo było ją zwieść, miała już swoje doświadczenie, w którym nie brakowało nadziei oraz rozczarowań.

– Obiecanki. Uwierzę, a po jakimś czasie usłyszę: interesy nie pozwalają, kochanie.

Dał spokój jakiejś tam wyspie.

Pożądanie opadało. Kiedy słuchał dziewczęcej paplaniny, chętnie zmusiłby Inge do jakichś niezwykłych praktyk, by wziąć odwet za upokorzenie. Najbardziej irytowało go ustawiczne przypominanie mu o istnieniu innych mężczyzn, którzy chodzili z nią przed nim i o tych, którzy będą jej towarzyszyć po nim. „Do licha! – zachnął się w pewnym momencie – przecież to ona sprowadza sens swego życia do kontaktów z mężczyznami, to ona nawet na sekundę nie może zapomnieć, że kręci przed nimi tyłkiem!” Nie rozumiał skąd więc w niej tyle niechęci, obrzydzenia do jego marzeń. Czyżby ją zawiódł, rozczarował, nie dał szczęścia korzystania z tego, co na każdym kroku podsuwała cywilizacja luksusu, nie ofiarował rozkoszy, jakiej oczekiwała?

Inga, już ubrana, poruszała się po pokoju z kocią zwinnością. Od czasu do czasu, istotnie jak zwierzątko, ocierała się o niego. W końcu siadła przed pulpitem, na którym stało obrotowe powiększające lustro, a obok niego pędzle z mosiężnymi wykończeniami, pudełka z tuszem, ołówki, pianki z linii Definity, słoiczek z eliksirem rozświetlającym.

Joachim podszedł do okna. Uroczą kasztanowłosa reklamującą damską ażurową bieliznę pochodziła z nierealnego świata billboardów, rzeczywista była tłusta mewa na parapecie, wpatrzona ślepkami w mężczyznę, a może także w dziewczynę. Myśli Joachima Kraffta błędziły po jeszcze mniej realnym świecie niż ten z reklamy...

Tak pragnął, by Inga odkryła w nim coś więcej niż tylko bogatego człowieka, sponsorującego ładną, choć ubogą dziewczynę, dopiero wspinającą się na szczyt popularności i dobrobytu. Owszem, miał pieniądze, wystarczająco dużo, by zaspokajać jej i własne zachcianki. Ale prócz bogactwa posiadał inne zalety, było w nim wiele dobra, szlachetności!

Cóż, nie wszystkim się najlepiej wiedzie. Choćby jego kuzynce. Maria Magdalena miała urodę Marleny Dietrich, ale też wyjątkowego pecha. Porzucona przez męża, nawigatora linii lotniczych TUIfly, żyła skromnie w zadłużonym mieszkaniu z synem Richardem. Joachim odwiedzał ją i dyskretnie wspomagał. Chłopiec wymyślił zabawę w sklep. Telefonicznie uprzedzony o przybyciu wujka, pokój zamieniał w dom handlowy. W sprzedaży była kawa, herbata, ciasteczka, a nawet zabawki Richarda i jego ubrania. Ba, żądał opłaty za wejście do ubikacji, za użycie papieru toaletowego, mydła, ręczników. Ceny ustanowił na wszystko dość wysokie, jakby to był sklep dla bogatych. Joachim Krafft płacił. Smutne oczy chłopca tak długo spoglądały to na mężczyznę, to na rzecz oferowaną w sprzedaży, aż została kupiona, aż skorzystał z toalety, wody, mydła, ręcznika. A przy pożegnaniu ze wznesionymi, pełnymi nadziei oczyma cichutko pytał: „Jutro też przyjdiesz, wujku?”. Czy wobec takiego zaproszenia-prośby można pozostawać głuchym? Joachim nie potrafił.

Kiedys należałoby odwiedzić kuzynkę razem z Ingą. Oczywiście po telefonicznym uprzedzeniu o wizycie potencjalnej klientki osobliwego sklepu.

Chyba i ona nie byłaby obojętna na wyczekujące spojrzenia chłopca.

Powinien o tym opowiedzieć Indze. Ciekawe, jakby zareagowała? Zaczęłyby o nim cieplej myśleć, spjrzałyby na niego inaczej niż tylko jak na majątnego mężczyznę?

Tymczasem Inga wybierała buty; żadna para nie pochodziła od Christiana Louboutina, więc ciężko wzdychała, myśląc o swym wynagrodzeniu za pracę, za które nie da się przyzwoicie i modnie ubrać, by jakoś wyglądać na garden party.

Dobrze, że istnieje Joachim, mężczyzna nieszczęśliwy grosza. Może nie zawsze nadąża za jej potrzebami, nie domyśla się pragnień, marzeń... Ale w końcu Inga osiągnie to, czego chce.

Joachim odwiózł ją na casting swoim mercedesem. Jak wiele innych dziewcząt szukających pracy w telewizji, miała rozpocząć od informacji o pogodzie. Stała ze wskaźnikiem przed mapą Europy z naniesionymi na nią liniami ilustrującymi przebieg zmian ciśnienia podczas przemian izobarycznych.

INGA

Bezchmurnie, temperatura: 20 stopni Celsjusza, wilgotność: 46 procent, wiatr południowo-zachodni, wiejący z szybkością 29 k/h.

GŁOS Z REŻYSERKI

Dziecko, nie możesz używać skrótów. Nie wiesz, co znaczy k/h? To trzeba wiedzieć. To podstawa w tej pracy. Niby łatwej, ale przecież widzisz, że wcale nie takiej prostej, jak się niektórym zdaje. Jeszcze raz od początku.

INGA

Przepraszam. To trema. Oczywiście że wiem, co znaczy k i h. Z fizyki byłam niezła, miałam dobrego profesora.

GŁOS Z REŻYSERKI

Gadanie. I pamiętaj, to nie tekst z dramatu Szekspira. Mówisz nie do ludzi siedzących w teatrze, a w domach, przed telewizorami. O tym powinnaś pamiętać; dziś nie wszyscy chodzą na *Hamleta*, natomiast miliony widzów tkwią przed ekranami telewizorów, czekając na prognozę pogody. Włóż w to więcej serca. Serca! Wiesz, co mam na myśli? Mówisz do wielomilionowej widowni!

INGA

Bezchmurnie, temperatura: 20 stopni Celsjusza, wilgotność: 46 procent, wiatr południowo-zachodni, wiejący z szybkością 29 kilometrów na godzinę.

GŁOS Z REŻYSERKI

Świetnie, wspaniale, wiesz, o co nam chodzi. Wyczuwasz tekst. Ale da się go jeszcze inaczej wypowiedzieć. Jakby ten tekst był ostatnim twoim przesłaniem dla ludzkości. Może z nim odejdą na zawsze? Spróbuj jeszcze raz.

INGA

Bezchmurnie, temperatura: 20 stopni Celsjusza, wilgotność: 46 procent, wiatr południowo-zachodni, wiejący z szybkością 29 kilometrów na godzinę.

GŁOS Z REŻYSERKI (*bardzo chłodno*)

Wystarczy. Jeśli będzie trzeba, to się skontaktujemy.

Inga opuściła budynek telewizji załamana. Wsiadła do czekającego na nią merca, przytuliła się do Joachima.

– Dobrze, że jesteś – wyszeptała. I ciszej, patrząc na gmach, do którego wciąż nie miała wstępu, dodała: – Co ja bym bez ciebie, mój drogi, zrobiła? – Nie potrafiła sobie tej sytuacji wyobrazić. Przeniosła spojrzenie na niebo – bezchmurne, z temperaturą powyżej dwudziestu stopni Celsjusza, z wilgotnością około pięćdziesięciu procent, z wiatrem... Chyba nie było najmniejszego podmuchu.

2.

Przedarli się przez tunel reklam z najeżdżającymi na nich nowymi modelami samochodów, zbudowanych przy wsparciu nowoczesnej technologii – bezpiecznych, oszczędnych, ekologicznych – minęli drepczące po chodniku stadko mew,

jednookiego Zboczka z lornetką na piersiach, feministki z prowokującymi transparentami, plakaty reklamujące automatyczne kosiarki Husqvarna i weszli do budynku, nad drzwiami którego, spoza afiszy, wyzierały litery napisu *Welt schön...*

Pokazy mody dostarczały Joachimowi Krafftowi porywających przeżyć. Dzięki znajomości z Ingą Bral sadowił się w pierwszym rzędzie, rozpiął marynarkę garnituru Hugo Bossa, guzik koszuli pod tłustą szyją, rozluźniał krawat i czekał na muzykę, na pojawienie się dziewczęcych nóg, bioder, piersi, buziaków. Wszystko to chłonał razem i osobno. Rozkoszował się obecnością modelek, potrafił poddać się zmysłowym zapachom i oszałamiającym wzrok kolorom. Spośród wszystkich modelek od dawna wyróżniał Ingę. I to nie tylko dlatego, że z nią sypiał; wydawała się najśliczniejsza z najpiękniejszych. Gdy wychodziła, w sali rodził się klimat mistycznego zauroczenia, irracjonalnego uniesienia, bezgranicznego zachwyty i pożądania. Kiedy płynęła ku niemu, niesiona przez melancholijną melodię piosenki Mariah Carey *Without you* (nie mogę zapomnieć, nie mogę zapomnieć...), to miał wrażenie, że z niebios zstąpił anioł, by w ciągu kilkunastu sekund przybliżyć mu wyobrażenie szczęścia i tęsknoty za rajem. Już zniknęła, a on, oddychając pozostawioną w przestrzeni wonią, z zamkniętymi oczyma, wciąż ją widział, jeszcze wyraźniej, intensywniej niż wówczas, gdy przechodziła koło niego, prezentując piękno i oryginalność stroju na idealnych dziewczęcych kształtach.

Bóg miał wyobraźnię mężczyzny!

Wszechmocny musiał stworzyć kobietę!

Nie można sobie wyobrazić zielonej planety bez kobiety!

I tym razem, gdy się pojawiła, ogarnęło go błogie uczucie ciepła, czułość, namiętny podziw. Na jego szerokiej twarzy rozlał się rozmarzony uśmiech, oczy wypełniła rzewność. Dopiero gdy wykonała przed nim pół obrotu, ukazując całą długość odsłoniętej nogi, gładkość uda, obudziła w nim pożądanie szatana. Tymczasem Inga stała opodal, patrzyła ponad głowami widzów z wyrazem pobleźania i kokieterii. Każdy występ ją bawił. Lubiła wywoływać na sali szmerek

podniecenia, wzbudzać podziw dla strojów, jakie nosiła, i zachwyty swoją urodą. To była jej gra z tymi, którzy przyszli na pokaz. Wiedziała, że musi sprostać jednemu zadaniu – zauroczyć publiczność, wprowadzić ją w osłupienie. By to osiągnąć, miała do dyspozycji swoje ciało i stroje. Należało więc umiejętnie się nimi posługiwać. Ta sztuka wciągała ją bardziej niż seks. Może dlatego, że partnerem była zbiorowość. Pragnęła zadowolić wszystkich, nie pominąć nikogo. Starła się o tym stale pamiętać. Zdawała sobie sprawę, że na sali siedzą nie tylko samczyki, takie jak Joachim Krafft, ale także mężczyźni romantyczni, wężchowi dewianci, fetyszyści różnych części ciała, stroju, kobiety uprawiające safizm, saliomanki, sadomasochistki, minetki. Jej zawodową ambicją było, uwzględniając gust oraz zainteresowania każdego i każdej, ożywić w publice marzenia o seksie jako wartości, uświadomić widzom potrzebę seksualności w życiu. Inga do perfekcji opanowała sztukę kuszenia. Scenicznego ruchu uczył ją Tomasz Weis; wiele mu zawdzięczała, zmienił ją gruntownie, przekonał, że każdy krok, gest, uśmiech, spojrzenie mogą mieć swoją wymowę, wielkie znaczenie dla tego, kto patrzy, obserwuje i na coś czeka. Żałowała jednak, że nikt nie potrafi dostrzec w niej czegoś więcej – konkretnie dziennikarki – i przygotować do pracy w telewizji, z którą wiązała swe nadzieje, niezależność, przyszłość, karierę.

Joachim Krafft przymknął oczy. Słuchał muzyki, chciwie chłonał kobiecy zapach i poddawał się erotycznej narkozie. Doprowadzał się do stanu maksymalnego podniecenia i w tej gotowości do seksualnej reakcji najchętniej pozostałby przez resztę pokazu. Ubolewał cicho, gdy po jakimś czasie napięcie opadało. Oskarżał się wówczas o zbyt małą pobudliwość seksualną, o zubożenie bodźców wywołujących wzruszenie. Dlatego szybko otwierał oczy, patrzył i patrzył, starając się znów wejść w fazę zauroczenia, silniejszej emocji. Pomagało mu w tym kolejne pojawienie się Ingi.

Ta dziewczyna opętała go seksem, uzależniła nim jak narkotykiem czy dopalaczami. Trudno mu było wyobrazić sobie dzień niezakończony współżyciem.

Codziennie jak nałogowiec musiał brać jej dużą dawkę, z dnia na dzień większą, by mógł spokojnie zasnąć. Nawet kiedy przeglądał magazyny erotyczne – wszędzie widział Ingę, jej ciało, myślami był przy jej intymnych strefach.

– Może jestem chory – mruzczał do siebie – ale to jest piękna dolegliwość.

Po skończonym pokazie udał się do garderoby. Inga właśnie rozpiniała bawełnianą sukienkę z kwiatowym wzorem w tonacji beżowej, więc pomógł ją zdjąć. Stała przed nim w dwuczęściowym bikini, ze skąpym dołem i szczytkową górą. Nie on jeden na nią patrzył; na parapecie okna stała mewa i wgapiała się w dziewczynę. Mężczyzna kilka razy uderzył dłonią w szybę, płosząc ptaka.

– Przekłete ptaszyska, wszędzie ich pełno. Jakby nas śledziły. Jest ich prawdopodobnie więcej niż ludzi. Czas zacząć je tępić, nim ziemia stanie się jednym wielkim mewim gniazdem.

– Szukają pokarmu. – Usprawiedliwiała obecność ptaków w mieście. – Morze im go nie zapewnia, więc przylatują na ląd.

– Taaak... Gdybym mógł wierzyć, że tylko jedzenia im brak – mruknął.

– Jesteś zabawny. Podejrzewasz, że mnie podglądają?

– Jestem gotów oskarżać je o wszystko, co najgorsze! – burknął.

Podszedł do Ingi.

– To też? – spytał, dotykając bikini, z wielką gotowością do zupełnego obnażenia dziewczyny.

Kiedyś peszyło ją jego zachowanie, potem irytowało, w końcu przywykła i przyjmowała go takim, jakim był. Zamiast odpowiedzi uniosła ręce, z wyrazem zmęczenia poddając się jego woli. Ta dziewczęca uległość pobudziła wyobraźnię Joachima, wywołała ekscytację. Zdejmując stanik, już doznawał tej erotycznej emocji, która powinna prowadzić do zjednoczenia ciał. Zsunął z niej dolną część kostiumu i przylgnął do nagiego ciała, napierając na nie mocno, prawym kolaniem starając się rozsunąć uda, ustami pieszcząc lewą pierś.

– Idziemy do ciebie czy do mnie? – spytał, odrywając na chwilę usta od sutka.

Wygięła się do tyłu, jakby pragnąc uciec od natręta. Wyraźnie wyczuwał jej kości miedniczne, przypuszczał też, że napiera na kości łonowe, ale nie był tego pewien; maklerzy mają kiepską wiedzę o anatomii kobiecego ciała, w pośrednictwie handlowym nie na wiele się ona przydaje.

– Jesteśmy zaproszeni na party – przypomniała mu delikatnie, szeptem.

Spojrzał na nią błagalnie.

– Moglibyśmy sobie darować.

Zakołysała się przed nim, jej dziewczęce piersi nieco zmieniły kształt.

– Niby dlaczego? – spytała z rozbijającą naiwnością. – Nie za często chcesz zmieniać plany? Dziewczyny takich nie lubią, boją się męskiej niestałości.

Przyjął zaproponowany przez nią rytm rozkołysania. Zastanawiał się, czy ją te ruchy podniecają równie mocno jak jego. Jeżeli tak, to na pewno zrezygnują z party.

– Chcę być z tobą, tylko z tobą – wyznał ściszym głosem i jakby zawstydzil się swego pragnienia, wtulił głowę między jej piersi.

– Przecież jesteś – powiedziała słodkim głosem kusicielki.

Całował piersi.

– Bądź ostrożny – napominała go bez większego przekonania. – Nie jesteśmy u mnie.

Przypuszczał, że ta pieszczota bardzo ją podnieca i boi się, że ulegnie mu w garderobie. No to co? Wszyscy już wyszli, drzwi zamknięte, nikt nie wejdzie, mogą się kochać. W miłosnym zapamiętaniu, z gorzko-słodkim uczuciem całował jeszcze namiętniej.

– Daj spokój. – Wymknęła się z jego objęć. – Nie tu, nie tutaj! Czas na nas, chodźmy już.

3.

Prosto z ulicy straszącej strzępami plakatów z przedwyborczej kampanii do Parlamentu Europejskiego, odklejającymi się liszczami tynku i papieru, a nieco dalej mamiącej świeżą reklamą pilarek spalinowych, weszli do parku ukrytego za wysokim murem obsiadłym przez stado drzemiących mew.

Przez chwilę Inga Bral stała bez ruchu, nie mogąc się zdecydować, czy do kogoś dołączyć, czy pozostać z Joachimem Krafftem gdzieś na uboczu i zachwycać się aksamitnym niebem, spokojną tonią stawu. Na każde party udawała się bez określonego celu, wiedziała tylko, że wtedy a wtedy ma być tam a tam, i po przekroczeniu progu domu poddawała się biegowi wydarzeń. Jeżeli dziś sama chciała podjąć jakąś decyzję, to dlatego że wkroczywszy niepostrzeżenie w mrok ogrodu, nie od razu wyciągnęły się ku niej ręce gospodarzy czy przyjaciół. Czuła się zawiedziona. Czyżby to była zapowiedź... czegoś niemiłego? Spadku popularności, jakichś krytycznych ocen, które jeszcze do niej nie dotarły? Wulkan nie wybuchł, lawa nie rozlała się po stoku, ale już-już sejsmografy ostrzegały.

Ujęła swego towarzysza pod ramię i poprowadziła pergolą w stronę pustej przystani z cumującymi łodziami. Wsiedli do jednej z nich, z wiosłami w dulkach.

Na wodzie niebo wydało się jeszcze bardziej granatowe, a drzemiące łąbędzie wyglądały jak białe kłębuszki tonące w mrocznej kadzi. Nad głowami wisiały gwiazdy – martwe, banalne w oczekiwaniu na odkrycie astronomicznej prawdy o sobie samych. Czy to możliwe, by gdzieś tam kołatało się jakieś inne życie?

Inga szukała Gwiazdy Polarnej, kreślącej krąg wokół bieguna.

– Wiesz, że ma sześć razy większą masę od Słońca i świeci ponad dwa tysiące razy mocniej od niego? – spytała szeptem, jakby zdradzała wielką tajemnicę.

Mężczyzna spojrzał w niebo; jego wzrok zagubił się w galaktykach.

– Na morzu, gdy płynę jachtem, łatwiej ją zobaczyć – stwierdził, rezygnując z poszukiwania gwiazdy sześć razy większej od Słońca i świecącej mocniej od niego. – Co to chciałem... Na łodzi mam kompas! – przypomniał sobie.

Byli już na środku stawu, gdy Inga nieoczekiwanie, chimerycznie, zaczęła żartować z romantycznego nastroju. Powiedziała, że powinna być w długiej białej sukni z koronkami i trzymać w ręce parasolkę. Joachim podejrzewał, że drwi, ale nie próbował dochodzić przyczyn jej pogarszającego się humoru, całą uwagę skupiając na wiosłowaniu. Chyba brak reakcji z jego strony jeszcze bardziej zirytował dziewczynę, bo kazała natychmiast zawracać do brzegu. Pośpiesznie opuściła łódź i nie czekając na Joachima, ruszyła w stronę grupki mężczyzn otaczających Tamarę Polak, z której od dłuższego czasu redakcja *Vogue* starała się zrobić gwiazdkę sezonu. Inga nie zazdrościła jej publikacji w czasopiśmie erotycznym, tylko powodzenia na party, tych wpatrzonych i zasluchanych w nią mężczyzn. A co ona takiego mądrego miała do powiedzenia?! Ale trzeba podziwiać ją za umiejętność słuchania. O, tak, w tym była dobra! Mężczyźni mówili: wybory, Unia Europejska, Bruksela, Strasburg... a ona tylko kiwała głową. I to im wystarczało. Jakby i ona coś wiedziała na temat Unii Europejskiej, Brukseli, Strasburga...

Adoratorzy Tamary nie zwrócili uwagi na zbliżającą się Ingę Bral. Wzięła z tacy kieliszek na długiej nóżce; poruszała nim jak żagwią wśród wilków.

– Nie mogę się do ciebie dopchać, Tamaro – powiedziała w ojczystym języku, tonem nie ukrywającym sarkazmu.

Błękitne oczy dziewczyny pochodzącej z Gostynia Wielkopolskiego – leżącego blisko Jutrosina, gminnego miasteczka, z którego wywodziła się Inga – skierowały się w jej stronę powoli, ostrożnie, jakby z niedowierzaniem, że tylko na tych słowach skończy manifestację niechęci.

– Oglądałam ostatni numer z tobą na rozkładówce. Moi znajomi twierdzą, że to odważne ujęcie, zapewne trafisz też na postery. Zapewniłam ich, że znając ciebie, czytelnikom pism erotycznych masz jeszcze wiele do pokazania. – Wciąż zwracała

się do Tamary po polsku, a więc tylko ona i Joachim mogli ją zrozumieć, reszta patrzyła i czekała na jakieś wyjaśnienie.

Tamta zaśmiała się gardłowo.

– I do powiedzenia, moja droga – odparła również po polsku, przenosząc wzrok z Ingi na swych adoratorów, wciąż klejących się do niej spojrzeniami lub mierzących w jej stronę komórkami z aparatami fotograficznymi. – Nie zwróciłaś uwagi na wywiad ze mną, moja droga. Kawał dobrej dziennikarskiej roboty, moja droga. Wytnij i zachowaj na pamiątkę, może w końcu dostaniesz z redakcji radiowej jakieś zleconko, wtedy przydadzą ci się pewne wzory do naśladowania. – Jak doświadczona aktorka podtrzymująca uwagę widzów w napięciu, zrobiła krótką pauzę. – Między innymi – ciągnęła leniwie dalej – mówiłam o pruderii niektórych dziewcząt, moja droga, które chciałyby swoim ciałem podniecać wielu mężczyzn, ale nie mają odwagi go obnażyć, więc uciekają się do różnych sztuczek, wiesz o czym mówię, moja droga? I marząc o telewizji, skończą za redakcyjnym biurkiem radiowej stacji, której mało kto słucha – odgryzała się za złośliwość koleżanki.

Inga spróbowała alkoholu.

– Jaka subtelna aluzja! – oceniła z ustami nad kieliszkiem.

Tamara wyciągnęła ku niej ramiona – dwa złociście połyskujące węże – i oplotła uściskiem boa krajanekę.

– Musimy się kiedyś zdzwonić – wysyczała. – Przecież mamy sobie tyle do powiedzenia, prawda, moja droga?

Inga, ostatecznie pokonana, wycofała się.

– Głupia! – szepnęła z gniewem do Joachima Kraffta, marudzącego między stolikami w poszukiwaniu miejsca. – Co ona sobie wyobraża? Że w czym jest lepsza ode mnie?!

Zrozumienie przyczyn i rodzaju konfliktu między dziewczętami przekraczało możliwości mężczyzny. Po co Inga w ogóle do niej podchodziła? Co chciała osiągnąć, obrażając ją? Czy to jest najlepszy sposób zwracania na siebie uwagi?

A jednak myślał o Indze z podziwem. Ta dziewczyna była nie tylko pięknie ukształtowanym manekinem na modne stroje, jak piszą o modelkach niektórzy złośliwi żurnaliści – szła przez aksamit nocy z nieodgadnioną myślą o szekspirowskiej intrydze.

O, tak, życie z nią obfitowało w niespodzianki.

Czuł dumę.

Była lepsza od bohaterek niejednego obyczajowego serialu.

Zagubiony w rozważaniach nie od razu zauważył, że zmierzała do stolika zajętego wyłącznie przez zniewieściałych mężczyzn. Szalona dziewczyna! Ich widok napawał Joachima odrazą. Lubił w życiu jasne sytuacje, wyraźne podziały na role męskie i żeńskie, podczas gdy ci wyglądali na facetów oczekujących na chirurgiczne operacje narządów płciowych. Z przerażeniem wyobrażał sobie, że w przyszłości mógłby trafić na dziewczynę, która wcześniej była chłopakiem. Cóż z tego, że mu to i owo wytną, przecież jego bioder już nic nie zmieni, tyłek też pozostanie osadzony na nieatrakcyjnych udach.

Popatrzył na uda Ingi wyraźnie rysujące się pod suknią. „Jej uroda – pomyślał – od początku miała cechy płci pięknej. Dojrzewała w naturalnych warunkach, w odpowiednim czasie i stosownie długo, jak wino w piwnicy” – przypomniał sobie w samą porę porównanie z noweli filmowej.

– Hej! – zawołała Inga w stronę mężczyzn wyglądających na pacjentów ze szpitalnej izby przyjęć. – Nie nudzicie się ze sobą?

Nie przejawili żadnego zainteresowania piękną modelką. Może każdy z nich myślał, że po operacji będzie śliczniejszy od niej? Głupki! Wyglądali żałośnie. Jeszcze nosili spodnie, ale już byli pozbawieni ciekawości świata kobiet.

Inga zwróciła się do Joachima:

– Powiedz, co ci się najbardziej podoba w byciu kobietą?

Patrzył w gwiaździste niebo i oblizywał wargi. Uwielbiał przyglądać się nagiej Indze, ale czy nagość to jej rola?

– Czego zazdrościsz pięknej dziewczynie?

Lubił patrzeć na znamiona jej płci, lecz czy tego jej zazdrościł?

„Dobrze, że jestem mężczyzną – myślał – to znaczy, że nie mam tego, co ma ona, bo gdybym nie był mężczyzną, to wiele bym stracił”.

– Głuptasek z ciebie – stwierdziła ze śmiechem, gdy jej o tym powiedział. Zanuciła smutną melodię; nie pamiętała, skąd ją zna: z filmu, z radia. – Leczę cię z twojej męskiej głupoty.

Nie był to komplement, a tylko wyraz aprobaty dla obecności Joachima w jej życiu. I to mu wystarczyło do snucia marzeń o zbliżeniu się do Ingi.

– Wiesz – szepnął z ustami przy jej uchu – chciałbym, abyś teraz miała na sobie długą białą suknię z koronkami, a nad głową niosła rozpiętą koronkową parasolkę z Brugii.

Dzwoneczki śmiechu wypełniły noc.

– Naprawdę? – zainteresowała się żywo.

– Tak – zapewnił szybko.

– Kto wie, może kiedyś...

– I nie będziesz wówczas sama z siebie drwić? – pytał drżącym głosem.

Spoważniała.

– Wyobrażam sobie, jak Tamara, zarabiająca pokazywaniem gołego tyłka, zazdrościłaby mi!

Mężczyźnie nie spodobała się ta uwaga.

Myślał o długiej białej sukni i parasolce.

Inga oddalała się z głową zwróconą ku gwiazdom – martwym i banalnym. Szła ścieżką wzdłuż muru, na którym siedziały mewy, czujnie śpiące, cierpliwie czekające na świt.

4.

O castingu do produkcji reklamy szamponu przeciwłupieżowego z cyklopiroksolaminą Inga nie powiedziała Joachimowi; nie chciała, by zaczął o niej myśleć podobnie jak członkowie komisji dyskwalifikującej tu i ówdzie jej kandydaturę. Stała przed dwuosobową męską komisją, by popisać się skalą głosu.

INGA (*śpiewa, jej włosy rozwiewa strumień powietrza z suszarki*)

Cy-klo-pi-ro-kso-lan-mi-na... Na-mi-lan-kso-ro-pi-klo... Przepraszam, spróbuję jeszcze raz.

MEŹCZYŻNA (*z oczyma wbitymi w piersi Ingi*)

Pi zabrzmiało rozkosznie, zachęcająco, przekonywająco. W tym pi była gwarancja wszystkiego, co najlepsze w produkcie, jakby to był znak jakości. Wyszło z ust niby wyznanie obiecujące rozkosz, cielesną radość. Ale tak zadźwięczało pierwsze pi, rozdzwoniło mi się w uszach subtelnością informacji o produkcie. Drugi raz pi zabrzmiało słabiej, niepewnie, jakbyś zwątpiła w wypowiedziane pierwsze pi.

INGA

Mam nadać więcej mocy?

MEŹCZYŻNA (*jeszcze bardziej wlepił wzrok w piersi Ingi*)

Moc! Świetne określenie tego, na co czekamy. Moc – to zdolność oddziaływania. Czym? I to jest problem dla artystów, aktorów.

INGA

To pi ma mieć siłę krzepienia.

MEŹCZYŻNA (*z oczyma na piersiach Ingi*)

Krzepienie... Najpełniejsze określenie naszych oczekiwań. W tym pi musi być zawarte przesłanie solidności, która krzepi. Taka stałość jak w geometrycznym pi.

Liznęłaś trochę matematyki, co? Czy zawsze brakowało ci na nią czasu i pojęcia nie masz, co oznacza pi?

INGA (*znów śpiewa, a jej włosy rozwiewa strumień powietrza z suszarki*)

Cy-kło-pi-ro-kso-lan-mi-na... Na-mi-lan-kso-ro-pi-kło... Przepraszam, spróbuję jeszcze raz.

Nie dopuścili jej już do głosu, ochoczo rzucili się do poprawiania Ingi, jeden nie słuchając drugiego, korygowali, każdy po swojemu wyśpiewując pi, pi, pi.

MĘŻCZYŻNA (*w przeciwsłonecznych okularach założonych na czoło, głosem umęczonego, zawiedzionego jurora*)

Starczy, starczy na dziś. Dziękujemy. Mamy pani telefon komórkowy, jeżeli będzie trzeba, to zadzwonimy. Następną kandydatkę proszę.

Inga minęła w poczekalni kilka dziewcząt, wśród nich Tamarę w jednoczęściowym jasnym kostiumie. Nogi w spodniemie nie wydawały się być grubsze od gromnic. Jeżeli nadal będzie stosować dietę słoikową, posilając się tylko zawartościami słoiczków dla niemowlaków, to wkrótce jej szczudełka nie utrzymają reszty.

– Słyszałam, moja droga, że mają bardzo niski budżet na produkcję. – Niepowodzenie Ingi zbliżyło do niej Tamarę; starała się pocieszyć rodaczkę plotką z poczekalni. – Jeżeli o mnie chodzi to potrzebne mi jest spore honorarium, by jakoś wiązać koniec z końcem. – Wzięła Ingę pod ramię. – Niskonakładowa produkcja mnie nie satysfakcjonuje. Chyba wyjdę z tobą, nie ma co tu tracić czasu i nerwów. W pobliżu jest sympatyczna kawiarenka. Ja stawiam. Jestem dziś jeszcze przy forsie.

– Skoro nalegasz – przyjęła zaproszenie Inga.

Po rozstaniu z Tamarą – czyli po piętnastu minutach nostalgicznych wspomnień o stronach rodzinnych i godzinnym rozważaniu zachowań Lary Croft, seksownej bohaterki gier komputerowych – i powrocie późnym wieczorem do domu, Inga wyjęła z szafy tekturowe pudło na kapelusze, w którym przechowywała rodzinne zdjęcia. Obiecywała sobie, że kupi odpowiedni album, umieści w nim fotografie z dbałością o chronologię i właściwy podpis, ozdobi fragmentami wspomnień przekazanych przez matkę, babcię, zacytuje coś z listów siostry; wciąż jednak brakowało jej na to czasu. Jak nie obowiązki modelki, pokazy, to castingi, przekonywanie redaktorów, że warto dać jej szansę. Gdyby nie towarzystwo Joachima Kraffta, dawno zapomniałaby, czym powinny żyć dziewczęta w jej wieku. Joachim i jego samochód, on i jego bogactwo bardzo Indze służyły.

A jednak bywały dni, godziny, gdy chętnie cofnęłaby wskazówki zegara, kartki kalendarza i powróciła do lat bez większych stresów, pragnień i śmiałych marzeń. Do wieku, kiedy cały świat wydawał się być na miarę jej potrzeb, więc niewiele więcej od niego oczekiwała.

Powróciła do przeglądania zawartości pudła. Kilka zdjęć ojca na statkach handlowych, na tle egzotycznych zamorskich krajobrazów. Na jednym z nich stoi przy relingu, a nad jego głową wiszą olbrzymie mewy; opowiadał o nich jak o ptakach przynoszących marynarzom przesłanie z lądu. Nie bardzo wówczas rozumiała, co to znaczy. A teraz? Na wszystkich fotkach był uśmiechnięty, zadowolony z pracy i z tego, czego mu dostarczała – niezwykłych przeżyć na dalekich morzach, oceanach, w odległych portach. Przynajmniej do czasu, gdy nie stracił podczas sztormu obu rąk. Kikutów nie pokazuje żadne zdjęcie, ale na tych, na których aparat uwiecznił go po wypadku, już się nie uśmiecha. Mama też nie. Siostra Kamila tym bardziej.

Rodzice lubili fotografować Krystynę. Jakże bogatą miała mimikę! W ilu miejscach przychwytywał ją obiektyw aparatu! Bzy, sady, rzeki, góry, szeroka plaża nad morzem w Pogorzeliczy, gdzie stał ośrodek wczasowy *Biała mewa*. A na innych

zdjęciach: ona z psem, kotem, na koniku polskim, z koleżankami i kolegami ze szkoły, których imiona z coraz większym trudem sobie przypominała. C'est la vie!

I upamiętnienie pożegnania na tle ściany obrośniętej winoroślą: smutne twarze rodziców, uśmiechnięta Krystyny, która po przekroczeniu otwartej granicy polsko-niemieckiej zostanie Ingą. To ostatnie zdjęcie, nie ma dalszej historii dziewczyny walczącej z rywalkami o popularność, pieniądze. W pudle znajdują się jeszcze listy, którymi rodzice chcieli ją odzyskać – nostalgiczne, wspominające jej dzieciństwo. Nie umiała na nie odpowiadać. Prawdziwą sztuką jest prowadzenie rozmowy między pokoleniami, między ludźmi z dwóch różnych światów.

„Tak, tak – westchnęła, wkładając fotografie do pudła – muszę je w końcu uporządkować, przecież to dokumenty dotyczące mojej biografii i nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać”.

Otworzyła drzwi do łazienki. Rozświetliła ciemności nagłym zapaleniem światła. Z parapetu otwartego okna zerwała się w jej stronę niewielka mewa. Dziewczyna zakryła twarz ramionami. Ptak miotał się po łazience, czyniąc spustoszenie, wreszcie wyleciał z łopotem skrzydeł. Inga powoli opuściła ręce i w oszołomieniu patrzyła na postręcane z półek przedmioty oraz unoszące się wokół pióra. Zamykając okno, spojrzała w noc, w którą wtapiał się jednooki Zboczek cierpliwie wyczekujący, by ujrzeć choćby maleńki fragment pięknej dziewczyny w oknie.